

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędną
KAWIARNIA J. BISANZA
 w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter

Kronika tygodniowa.

Dzięki Bogu, wakacje już się kończą — powiadają jedni ze słomianych wdowców, którzy rzeczywiście przykładnie spędzili ten czas na wzdychaniu do wygod domowych i domowego wikt, czego brak dawał się im we znaki w czasie nieobecności czcigodnych małżonek.

— Bo to, uważa łaskawy pan — powiada do mnie onegdaj jeden z nich u Wentzla — nikt tak nie potrafi człowiekowi dogodzić, jak rodzona żona!... Ona już zna wszystkie nawyczki, wie, co się lubi, a czego nie... Służąca, choćby nawet najwprawniejsza, to przecież osobnik, który pracuje za zapłatę, a nie powoduje się miłością... Ja tam, kochany panie, liczę dni i godziny i nie mogę się doczekać powrotu mej pocziwej Basi...

— A ja przeciwnie, kochany radco — odrzekłem po chwili — nie miałbym nic przeciw temu, by moja Kundzia, która bawi w Zakopanem, nie miała sobie przeciągnąć pobytu w Tatrach choćby nawet w nieskończoność... Powiem radcy nawet na ucho, ale proszę mnie nie zdradzić przypadkiem, że onegdaj, wyczytawszy w pismach codziennych wiadomość o zaginięciu pewnej turystki, cieszyłem się, że to może ona, bo już dwa tygodnie nie dawała o sobie ani znaku życia... Niestety, to nie ona, ale jakaś pani Zielińska z Warszawy...

— Tak, tak! Już ja was znam, wy farmazony, dla was niema nic świętego! Ongiś, toście biednym kobietom przysięgali wierność dozgonną, a dziś każdy z was kontent, jeśli bodaj na krótki czas może się pozbyć żony... Ot!... A gdzie pan masz ślubny pierścionek? He?...

— Dałem go oczyścić, aby się świecił, gdy żona powróci!

— Ehe! Myślisz pan, że ci uwierzę! Nie mnie, starego wróbla, brać na plewy... Zresztą i ja sam nie byłem lepszy... pardon!... chciałem powiedzieć, napatrzyłem się dość na was i nasłuchiwałem dość o tem, bo mnie to zawsze interesowało...

— A widzi pan dobrodzieju!...

— W każdym jednak razie z ręką na sercu mogę wyznać, że żonie nie sprzeniewierzyłem się ani razu, a przy jej boku czuję się zupełnie inaczej... Wiem, że będę miał wszystko na czas i jak się patrzy przyrządzone... A tymczasem wam co innego w głowie... Ponieważ kończą się wakacje, a żona lada dzień ma powrócić do Krakowa, postaraliście się o ogłoszenie w gazetach, że w mieście i okolicy panuje straszna dysenteria... A to blaga, panie łaskawy!... Wy chcecie tylko przestraszyć swe żony i nakłonić je do dłuższego pobytu na wsi, byście tymczasem mogli używać wolności i swobody!... Ho! Ho! Znam ja was doskonale...

— Co też pan mówi!...

— Jak Boga kocham, tak jest, a nie inaczej! Jeśli mi pan nie wierzy, spytaj pan o to fizyka miejskiego, pana Janiszewskiego! On panu powie! czy byłby wyjeżdżał na urlop, gdyby zapanowała taka zaraza... Aha!... A widzisz pan jakieś się szpetnie złapał...

Ostatecznie przyznałem rację czcigodnemu radcy, że na starość, gdy się jest już kompletnym, tak jak on niedołęga, dobrze mieć blisko siebie jakieś kochające serce (było ono jednak nie „biło“ zbyt głośno) i wyraziłem radość, że wzmianki o dyzenterii są tylko zwyczajnymi kaczkami kanikularno-ogórkowymi.

Koniec końców stwierdzić należy, że teraz nastały najgorsze czasy, bo wyjechała operetka, rozjechały się esperanty i wymaszerowało wojsko na manewry, co nasze Kasie i Marysie tak boleśnie dotknęło, że moja n. p. kapłanka ogniska domowego przez trzy dni z rzędu podawała mi przypalone potrawy. Ale ja się ostatecznie nie bardzo o to gniewałem, mając w ten sposób pretekst do wyjścia z domu na kolację do miasta.

Udawałem naturalnie wściekłość, kłamię na czem świat stoi, w duchu jednak mówiłem sobie: Pocziwa ta Marysia!...

Bo trzeba Państwu wiedzieć, że moja magnifika wzięła się na sposób, wyjeżdżając na wakacje. Jako cerbera zostawiła mi premjowaną kilkakrotnie służącą, która już od trzydziestu lat służy u jednej

i tej samej rodziny i poleciła jej, by codziennie zapisywała skrupulatnie, o której godzinie i w jakim stanie powrócił pan do domu, kiedy jadł obiad za domem i dlaczego, kto go odwiedzał...

Te notatki wpadły mi przypadkiem w rękę, a choć właściwie nie mam z tego czasu nic tak ciężkiego na sumieniu, bym się z tego przed trybunałem domowym oczyścić nie potrafił, zawsze lepiej stanąć przed nim czystym, niż podejrzanym.

A przyznam się szczerze, że właśnie w czasie wakacji spóźniłem się kilka razy do domu na kolację, ponieważ zaś jestem bardzo oszczędnym, więc, aby nie płacić niepotrzebnie stróżowi za bramę, wolałem tę szóstkę obrócić na inny cel. Powędrowałem do Bisanza, potem do Rosenstoka i tak dalej i dopiero nad ranem wrócił człowiek do domu.

Kilka takich pozycji widnieje w raporcie mojej Marysi...

Otóż, aby ten raport nie dostał się wogóle w niepowołane ręce (t. j. w szpony mojej magnifiki) postanowiłem wyzyskać każdą sposobność, bo nie wypada, bym miał o to prosić Marysię, lub starał się ją przekupić.

Takie jednak zdarzenia, jak n. p. przypalenie pieczenia, mogą być bardzo pomocnymi do zawarcia przymierza zaczepno odpornego między mną a Marysią. Ja się muszę gniewać, ona musi się starać mnie prześladować, straszyć ją bowiem ciągle, że będzie się mieć z pyszną, gdy pani do Krakowa powróci...

Korzystam więc ze sposobności i na każdym kroku prześladowuję ją furzewem, którego niedawno wraz z nią spotkałem na schodach.

— Naturalnie — powiadam z powagą — w starym piecu dyabeł pali... Babsztylowi, któremu do kopy lat brakuje już niewiele, zachciało się żołnierza!... A ty cierp biedaku... I żeby to choć ułan albo dragon, niechby już artylerzysta lub piechotnik, ale furwez!...

— To brat, proszę łaski pana! — odpowiada Marysia zasłoniwszy rąbkiem brudnego i dziurawego fartuszka zapłonięte dziewczęce lica — ja naturalnie temu nie wierzę i grzmie dalej, co ma ten efekt, że Marysia zbliża się, całuje mnie w rękę i prosi, bym nic o tem nie wspominał pani...

Teraz ja wpadam w słowo:

— A co to Marysia pisuje zawsze wieczorami w tym grubym zeszytzie?

— E... to nic proszę pana... Zapisuję wydatki...

— Tak?... To Marysia chodzi co tydzień do spowiedzi i nie wstydzi się tak beczelnie kłamać... Ja widziałem przypadkiem ten zeszyt i czytałem, co tam Marysia wypisała... Trzeba tam jeszcze dopisać o tym furzewie...

Popatrzyła na mnie z miną delikwenta, mającego lada chwila oddać głowę pod topór katowski. Poznałem, że zwyciężam, perorowałem coraz głośniejsz.

Wreszcie Marysia mi przerwała:

— Bo proszę pana, pani kazała mi to wszystko notować, ale ja to spałę jeszcze dziś!

— Nie dziś, tylko zaraz! — odparłem, nie wierząc w szczerłość jej zamiarów.

— Dobrze! Zaraz dołożę drzewa do pieca!...

Pomimo podeszłego wieku lekko i zwinnie pokroczyła po drzewo, w kilka minut buchnął jasny ogień, a po chwili pamiętnik zamienił się w garść popiołu.

Z miną wielkiego inkwizytora przypatrywałem się temu *autodafé*, odetchnąłem lżej i powiedziałem w duchu, że trzeba umieć pomagać sobie w każdej sytuacji!

Odtąd śpię już spokojnie, bo wiem, że Marysia jest moją sprzymierzoną i że już mnie nie zdradzi, zwłaszcza, odkąd jej powiedziałem, że „brata“ powinna przyjmować w kuchni, a nie na schodach.

Usłuchała mnie, sam na własne oczy widziałem, jak wczoraj (przeddzień wymarszu wojska) przyniosła dwie kiszki, których przecież sama nie zjadła.

Dajmy jednak spokój sprawom domowym, zajmijmy się czem innym.

O wyjeździe operetki lwowskiej nie będę wspominał, by niepotrzebnie nie rozkrwawiać serca sobie i innym słomianym wdowcom, których „Cnotliwa Zuzanna“ zamieniła w swych niewolników, kilka słów poświęcę natomiast esperantystom.

Zapewniają oni, że Kraków podobał im się bardzo, że jest to europejska miejscowość, słowem, że spotkało ich miłe rozczarowanie, gdyż myśleli, że jadą gdzieś do Azji, a tymczasem tak nie było...

I tutaj słomiani wdowcy mieli sposobność do okazania swego zapału (nie słomianego), niektóre bowiem z uczestniczek (zwłaszcza pewna Hiszpanka wcale rozłożystej postaci), zdobyły sobie wstępny bojem ich serca. Jeden z mych znajomych od kilku dni chodzi jak struty i ciągle narzeka, co to za

szkoda, że nie nauczył się przedtem esperanta i nie mógł pofirtować z nią w międzynarodowym języku...

Na ogół wzięło udział w zjeździe około tysiąc osób, które reprezentowały trzydziści kilka narodowości, za złośliwy wymysł uważam wzmiankę, jakoby w siedmdziesięciu pięciu procentach należały one do pokolenia Judy.

To stanowczo przesada!

Komitetowi, który zajął się urządzeniem przyjęcia, trzeba przyznać, że wywiązał się znakomicie ze swego zadania, wszystko szło jak z płatka, nawet c. k. poczta funkcjonowała należycie, a tramwaj posuwał się z większą niż zazwyczaj chyżością, ale to tylko w tym kongresowym tygodniu, poczem znów wszystko powróci do dawnego trybu.

Najbardziej namęczyli się niektórzy z krakowskich esperantystów, którzy dla utrzymania honoru grodu Krakusowego łamali sobie język i starali się o prowadzenie konwersacji esperanckiej. Zazwyczaj kończyły się te wysiłki popularnem: *psiakrew!*... lub również międzynarodowem: *Brech den Kark!*

Dziś nastał już zupełny spokój, pamiątką zjazdu zapomniana tu i ówdzie zielona chorągiewka i resztki ogłoszeń na rogach ulic. Drużyna pana Zamenhafa podążyła do Zakopanego, gdzie ją przyjęto nad wyraz serdecznie.

Gdy my zajmowaliśmy się esperantem, tymczasem na arenie życia politycznego zabrano się wcześniej, niż zazwyczaj, do roboty. Prezes Koła polskiego, dr. Leo, powróciwszy z nad „polskiego morza“ konferuje w Wiedniu z różnymi ministrami, ekscellencya Bilński omawia z baronem Wassilką warunki ugody polsko ukraińskiej, pan Jan Stapiński stara się przekonać kurę rzymską, że odbudowanie państwa kościelnego byłoby tylko wówczas możliwem, jeżeli papież wraz z kardynałami otwarcie przystąpi do stronnictwa ludowego i zabezpieczy swe nieruchomości w lwowskiej „Wiśle“.

To jednak wszystko niczem jest jeszcze w porównaniu z wiadomością, jaką nam przyniósł telegraf... Abdul Hamid został ojcem! Wszyscy byli przekonani, że on jest zdeklarowanym staroturkiem niedołęga, pokazało się, że jest inaczej! Chyba, że... ale dajmy temu spokój, mogłaby na tem ucierpieć równowaga polityczna na półwyspie bałkańskim, nad której utrzymaniem z takim zaparciem się pracuje minister Berchtold, iż zgniewało to nawet ekscellencyę Auffenberga. Widoczna, iż radby był ten ostatni, by w Austrii decydowali o polityce jenerałowie, a nie ci, którzy zawodowo „pracują w tym fachu“, jakby powiedział sympatyczny kadet Wallerstein, z „Manewrów jesiennych“.

Zresztą wogóle powodzi się nam bardzo dobrze, polityką zajmujemy się tylko z konieczności, gdy niema o czem innym mówić, uczęszczamy pilnie na wystawę architektoniczną, która urządziła znów konkurs na najpiękniejszy kapelusz damski, panienki zaś na wydaniu, mające po kilku konkurentów, zwiedzają wystawę koszyków. Każda radaby nabrać wprawy w rozdzieleniu koszów, żadna jednak nie pragnie osiąść na koszu!

A teraz, na zakończenie, bardzo przyjemna dla nas mężów wiadomość! Węgry podrożeją i to już w najbliższym czasie... kto więc ma monetę, niech kupuje zawczasu, potem może być późno!..



Mowo otwarty Magazyn broni
 pod firmą

R. Gliniecki i B. Wierzejski

w Krakowie, ul. Szewska L. 2

poleca **bogaty wybór broni** wszelkich systemów, przyborów myśliwskich, sportowych oraz **własną pracownię i warsztaty reperycyjne.**

IKA-ABADIE
TUTKI ZE STERYLIZOWANĄ WATĄ

Papier ten wyrabia się z najdelikatniejszych włókien roślinnych bez domieszek farbowych, wyłącznie we fabrykach

„Société Abadie w Paryżu“.

Papier ten pali się lekko i równo i nie wywołuje żadnego drapania w gardle.